



# MALY PRZEGLAD

## PISMO DZIECI I MŁODZIEŻY

### WYCHODZI CO PIĄTEK RANO KORESPONDENCJE I MATERJAK

### KIEROWAC NALEŻY DO REDAKCJI „MAŁEGO PRZEGLĄDU” NOWOLIPKI 7

### TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 357 (4795) „NASZEGO PRZEGLĄDU”

WŁADYSŁAW BERG.

## Nowe arabeski na starym świeczniku

Z gęstych, poplątanych arabesk ornamentu wychylają się dwa srebrne lwy. Z szeroko rozwartych groźnych paszcz wysuwają się wężowe rozdwójone języzami płonienie. Jeden, drugi... Dziewięć. Ostatni dzień.

Chanukowe „dreidele” wiruje dokola swej oski. Niezdarnie przewraca się na bok, polyskując cynową literką.

— Wygrałem — cieszy się Rysiek.

Tyle razy już pisano o Chanuce. I o tych, którzy mozolnie „glansują” miedz, bronz czy srebro świecznika, by w te jedyny w roku wieczory zajaśniał pełnym dukatowym blaskiem. I o Josku, zabawiającym się teraz właśnie zawziętym puszczeniem chanukowego dreidele. O Ruchli, przepukce - owocarce, która zaw sze na Chanukę piecze latki dla swych bachorów. Dobre latki, smaczne latki.

Zdaje się nawet, że pisano już i o panu Leonie — dawniej poprostu Lejbusiu — wracającym w tej chwili z jakiejś koleżeńskie kawałerskiej bibki do swego pokoku na piątem, czy siódmym piętrze (ale na Nowym Świecie, proszę państwa). Pisać znów o tem, po raz dziesiąty, setny może? Nie. Lepiej wsłuchać się w bezszelest padającego za oknem syplącego grudnicowego śniegu. Zapatrzyć się w migoczące na menozre płomyczki, rude, jak lisia czapa i zmierzwi na broda starego Jankiela...

Reb Jankiel siedzi za stołem. Jego lisia czapa i przerzedzona, niegdys ruda, dziś już wybladła broda pochyla się nad zółtką kartę. Kartą starą, jak on sam. Jak on sam. Pamięta tę księgę, należała jeszcze do jego ojca.

Ach, ojciec!... Reb Jankiel próbuje przypomnieć sobie jego twarz. Kochaną, poczciwą twarz. Dwie tylko są takie twarze na świecie — ojca i matki. Kochane, najdroższe.

Wywoływanie minionych obrazów nie udaje się. Kontury rozmazują się w poplątaną sieć zmarzeczek, jak u matki. Jak u niego samego, teraz, gdy ma już chyba z osiemdziesiąt lat. Pewno i Moniek, gdy za lat kilkanaście...

Moniek... dlaczego on jest taki daleki i obcy? Nigdy nie zmówił nawet „kiduszu” za swojego ojca. Ale Moniek jest przecież dobry. Ze swych skromnych zarobków czeladnika ślusarskiego utrzymuje Jankiela. Cóżby zrobił bez niego? Ech, ciężka dola starca...

Reb Jankiel chce uzmysłowić sobie, jak Moniek będzie kiedyś wspominał jego obraz. Lisia czapka, lysyjska broda i zmarzeczeki. Sieć zmarzeczek, poplątanych w misterne arabeski świecznika. Może wspomni te menore. Reb Jankiel pamięta doskonale, jak królowała ona na świątecznym stole. Obrus był

wtedy biały, jak ośnieżone grudniem pole, później, podczas tej strasznej nocy pogromu.

Ojciec był arendarzem gdzieś w Mohylewskiej gubernji. Było to już z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Chodzili wtedy głu che pogłoski o jakimś pogromie w okolicy. Biją żydów. Podobno tu i tam rozbiły się bandy, czarne sownie, mordując i rabując. Podobno...

Karczma już była zamknięta. Ojciec w czarnej myccie na głowie zapalał oliwę w dzbanuszkach menory. Dziewięć trysnął właśnie czerwonym pionowym stożkiem ognia. Przy stole siedział młody Jankiel, matka, dwie siostry. Piętnaście i osiemnaście lat. Sara i Rachel. Na dole zatu potały czyjeś kroki. Jakieś głosy. Głosny krzyk:

— Żydzie otwieraj! Reb Jankielowi nerwowo drża wysuszone, jak pergamin ręce. Po raz drugi przeżywa tę noc. Straszna noc. Noc pogromu.

Okreźnie wiruje chanukowe dreidele. Nieporadnie obala się na bok, ukazując polyskliwy zakrętas litery.

— Wygrałem — cieszy się Rysiek.

Heniek wraca z wykładu na „Politbudzie”. Spiesz się. Dłż Chanuka. Trzeba jeszcze kupić świeczki. W kieszeni brzęczą dwa dreidele. Dla Szlamka i Surcia. Śliczne, nowiutkie.

W ogrodzie leży biały śnieg. Syпки grudniowy śnieg pokrywa gałązki drzew i krzewów. Śnieg skrzył pod butami. W kieszeni pobrzęka dreidele.

— Dlaczego te ulice są takte ciemne. Aż niemiło przechodzić przez nie o zmroku. Jak dobrze, że jeszcze dwie przecznie, pięć minut w mydlarni i będę w domu. Szlamek i Surcia już pewnie czekają.

Szlamek chodził do piątego oddziału szkoły powszechnej. Jest pierwszym uczniem. No pewnie — mój brat. A Surcia pójdzie do szkoły dopiero na przyszłą jesień. Właściwie powinna chodzić do szkoły już w tym roku. ale nie było miejsca. Za to na przyszły rok pójdzie odrazu do drugiego oddziału. Już on ją przygotowuje.

Myśli ściera się dziwnie miękko — Szlamek — Surcia...

Słowo pada, jak obelga: ydzie!

Przełutem sekundy widzi ich. Cała zgraja, dziesięciu może, w studenckich czapkach, masywne łagi w dloniach. Cios kastetu trzasnął o czaszkę i ugłuszył. Runął. Buty deformują żebra. Ostre stalowe zyletki, osadzone umiejętnie na końcach lasiek, rozcinają miękkie kleiste ciało, masakrują twarz o nazbyt żydowskim wyglądzie.

Cynowe bączki wysunęły się z kieszeni. Czyż ciężki but włośczył je w grząski śnieg.

— Ma dosyć! Chodźmy! Grudzień sypie śniegiem. Ktoś przeszedł uliczką, zobaczył leżące ciało. Przerazliwy krzyk ostrzem stali rozrzwał opadające gwiaździste płatki śniegu.

— „Gdzież jest dzisiaj gorliwość Mojżesza, który w jednym dniu zniszczył dwadzieścia trzy tysiące bał ochwalców? — wolała po dzień dzisiejszy Konrad z Marburga, mnich, kaznodzieja i inkwizytor.

Trzeba było nanowo wnieść tę gorliwość. Trzeba rozpalic seki katowskich stosów, do sztutu niesłychanego doprowadzić szlachetną sztukę tortur.

— „Gdzież jest dzisiaj gorliwość Mojżesza?...

Gdyby dziś pisano o Chanuce, nie napisano może już — jak dawniej — o Chanie, nieszczytwej matce siedmiu synów, zgładzonych przez okrutnego Antiocha.

Napisano by zato może o innej matce dwóch synów. Jeden — inżynier elektrotechnik, drugi — absolwent W. S. H.; obaj dyplomowani, rokujący świetne nadzieje młodzi ludzie nie mogli znaleźć pracy. I jeden musiał za psie pieniądze naprawiać zepsute dzwonki u sąsiadów, drugi zaś dzierzał zelówek, szlifując „ko cie tby” warszawskich bruków w poszukiwaniu pracy. Obaj jej nie znaleźli. Nie dlatego, że nie było jej wogóle.

Często bywali już „prawie angażowani”. Lecz gdy trzeba było złożyć papiery, okazały się, że mają „nieczyste metryki”. Bo matka miała na imię Fajga, a ojciec — Ieek. I wtedy pan szel oswiadczał czempredzej:

— Bardzo mi przykro, lecz dane miejsce zostało już obsadzone.

Znów rozpoczyna się mozolna wędrówka.

Cóż z tego, gdy w papierach nie mają... aryjskiej babki.

Z cichym szelestem odwraca ją karty „Księgi Makabeuszów”.

Za oknem mrok, śnieg, wiatr...

## Chanuka-geld dla dzieci „Domu Sierot”

Niezadługo okna domów naszych rozbiłysiem niecodziennych światel sięgną w noc dalej będzie nam w migotliwym blasku świeczek, tak miło i przytulnie wśród najbliższych.

Ale niejedyn spojry na ciemną ulicę. Tam jednak jest noc. I mro ten wydaje się ciemniejszy tym, którzy mijają nasze okna, tym wszystkim, którzy rodzin nie mają.

I zgaśnie radość, jak zdmuchnięty płomyk. — Nie zasłużyłem na nią, nie zdobyłem jej sam. Przypadek zrządził, że nie my straciłymy rodziców, że jednak jest nam lepiej, niż innym.

W tym właśnie dniu świątecznym, gdy otrzymujemy dowody pamięci i serdeczności, chciałoby się powiedzieć tym wszystkim naszym rówieśnikom i rówieśniczkom, że choć nieznan, są nam jednak bliscy i jak bliskim, przesyłamy upominek.

Najbliższy spośród wielu internatów jest dla nas „Dom Sierot” przy ul. Krochmalnej. Tam bowiem w pokoju dr. Korczaka, na rodzili się „Mały Przegląd”, tam odbywały się pierwsze narady i konferencje prasowe, stamtąd wyszli pierwsi współpracownicy, a następnii co sobotę przychodzili na gazetkę wychowanków, aby się uczyć pisać.

Wiele ciekawego materiału dał mi czytelnikom wychowawcy „Domu Sierot”, poczynając od repozycji pierwszej spółki literackiej Harry - Maika poprzez listy i zanotowane opowiadania aż do pamiętnika p. t. „O choince na cmentarzu żydowskim”, zam. w tegorocznym numerze jom - kipurowym.

Wszyscy oni należeli do Kółka Pożytecznych Rozrywek o którym była mowa w tym pamiętniku. Kółko pracuje dla całego internatu — dba o rozrywkę umysłową i sportową wszystkich wychowanków w ciągu całego roku szkolnego oraz na kolonii letniej, organizując turnieje, gry i zabawy, przedstawienia i wyścigi, kupuje książki, zabawki, instrumenty muzyczne i sprzęt sportowy.

Kiedy więc dowiedzieliśmy się że Kółko Pożytecznych Rozrywek znalazło się w tak ciężkich tarapatach, w jakich nigdy jeszcze nie było w ciągu 17 lat swego istnienia — wystarczy powiedzieć, że nie miało nawet 5 zł. w swojej kasie na stroje dla aktorów, występujących w komedycie chanukowej, — pomyśleliśmy, że teraz my, małoprzegądowcy, możemy spłacić „Domowi Sierot” dług wdzięczności, przychodząc z pomocą najczynniejszej jego organizacji, która dała rozrywkę i kulturalne wywyższenie wszystkim dzieciom internatu.

A więc krótko i konkretnie: Przekazujemy do dyspozycji Kółka Pożytecznych Rozrywek naszą składkę w sumie 50 zł. i wzywamy wszystkie kosa korespondentów „Małego Przeglądu” do rozpoczęcia akcji zbiorkowej. Zwracamy się do wszystkich czytelników z gorącą prośbą o poparcie naszej akcji, o nadysłanie składki na wspólny fundusz chanukowy (Mały Przegląd, Warszawa, Nowolipki 7 — z dopiskiem: „Chanuka - geld dla dzieci Domu Sierot”).

Grupa Siedmiu.

sta się zadymka śnieżna i bezszesielnie biały puch otoczył złemnie. Wiatr był przeciągły za oknem.

W ten głuchy, beznadziejny wieczór mama zachorowała. Chodziliśmy na palcach, a Chanuka mało nas obchodziła: wszystkie myśli były przy matce.

Rano czwartego dnia przyszedł doktor i dokonał operacji. W drugim pokoju zastygłym w bezruchu. Panowała śmiertelna cisza, a my szepem modliłyśmy się o zdrowie mamy i nic nie wiedziałyśmy.

Wieczorem, jak zawsze ojciec nas zawołał. Zapalił świeczki. Był smutny, ale udawał wesołość. Nagle, gdy ojciec zapalał knot, pomyślałam sobie w duchu: „jeśli wszystkie świeczki będą się jednakowo długo palić, mama wyzdrowieje”. I z natężeniem śledziłam palące się świeczki.

Wszyscy odeszli już od stołu, a ja zostałam. Z blizuszczami oczyma wpatrzona w kolorowe świeczki, błagałam Boga, aby sprawił ten cud, wtedy ja wiewrze w cud, który stał się setką lat temu, kiedyś, hen, w ziemi pracujących naszych...

Świeczki paliły się równiutko, i ani jedna nie pochylała się niżej od drugiej. Z zapartym tchem śledziłam dalej. Po godzinie wszystkie się wypaliły i równo zgasty.

Wiedziałam, już, że mama wyzdrowieje, i że teraz stał się cud, podwójny: odzyskałam mamę i wiare.

D. G.

## WSPOMNIENIE

Znowu, jak każdego roku, szybko nadeszła Chanuka, przynosząc z sobą tyle radosnych wspomnień.

Pamiętam, jak dziś te szczęśliwe, beztrojskie wieczory chanukowe, gdy ojciec zapalał świeczki, a cała rodzina nawzajem siebie obdarowywała, kiedy grało się w tradycyjnego baka, odwieczną loteryjkę i na zakończenie szło się do kina. Jasny świecznik, stojący na środku stołu, był symbolem bezpiecznej przystani. Opowiem o cudzie chanukowym mogłam słuchać bez końca. Byłam dumna i szczęśliwa.

Bywały wprawdzie szaro

ale gdy nadchodziła Chanuka, zawsze na dnie ukryta radość wytryskiwała i zbawczo ożywiała dom. To było cudownie. Mnie zawsze Chanuka podobała się ogromnie, bo rodzice i inni krewni dawali upominki, ale najbardziej wierzyłam w opowiadany cud. Nie mogłam wierzyć, by ilość oliwy, przeznaczona na jeden dzień, mogła wystarczyć na osiem. Niestety, wkrótce została mam srodze za niewiarę ukarana.

Przed kilku laty, jak zwykle w grudniu, nadeszła Chanuka. Przeszły trzy wieczory chanukowe, nie były zbyt radosne, ale warty był okropny. Podoba

# Zamach na dowcip

Z Sosnowca donoszą:  
"W ostatnich dniach nieznaną grupą bombowców, prawdopodobnie spod znaku Małego Przeglądu, dokonano zamachu na dowcip. Dochodzenie w toku"

## WSTĘP

Gdybyście nie mogli wytrzymać i koniecznie chcieli dać upustu swemu oburzeniu, to prosimy was, abyście zrobili to w delikatnej formie (wiadomo, chłopaki młode, mogą się jeszcze poprawić)

Na nasze usprawiedliwienie po dajemy, że kronikę tę pisaliśmy nie jednego dnia, lecz na kilku posiedzeniach, a niekiedy w nastroju wręcz tragicznym (np. po przeczytaniu artykułu p. t. „Teatr pcheł”)

Z góry więc nam wybaczyć i zabierając się do czytania z wiarą w lepsze jutro. Nie samym tylko chlebem człowiek żyje.

## Uwaga! Zaczynamy!

Zebrań II  
Od tygodnia już wszystkie wróble na sosnowieckich dachach ćwierkały, że u Ludwika w odremontowanym domu ma się odbyć pierwsze organizacyjne zebranie nowopowstających gryziółków (w skróceniu gryzoniaków) przysługującym kolumn (czytaj filarów) Małego Przeglądu.

I rzeczywiście odbyło się. Dnia 5 października o godz. 4-ej organizator z duszą na ramieniu i szybką gwałtem runął do drzwi i otworzył je dwóm przyszłym akademikom.

Trzej literaci zasiedli do stołu. Zapanowało grobowe milczenie. W młach porodowych pierwszego uśmiechu usłyszano ciche skrobanie do drzwi wejściowych. Czekały sekundy dłuższe niż w wleczności, aż z wlecznością się trzy postacie pici odmiennej, które swoim wzrostem całkowicie usprawiedliwiały pierwszą część nazwy naszego piama.

Wkrótce warłkie strumienie paktki, płynącej z ust przedstawicieli pici „pięknej”, poniosły na swych falach drzemających genjuszów. Z długich rozważań na temat przyszłych cegiełek wielkiego gmachu koła sosnowieckiego wytoniły się następujące zapotrzebowania:

- a) socjaliści do dyskowania,
- b) — rewizjonści do utrzym-

wania porządku  
c) — klerykali do zjednywania łaski niebios i cenzury,  
d) — sjonisi do wolnych, wniosków,  
e) — miejscowe piękności do wywiadów.

W podniosłym nastroju zebranie rozstało się z życiem.

## ZEBRANIE II

I nastal dzień wtóry. Cicho pluskały rybki w akwarjum korespondenta odpowiedzialnego. Wtem spokojne wody ich siedziwy zmącił znowu dźwięk straszliwy.

— Do jasnej — clasnej! — mruknął Ludwik — jeszcze jedno zebranie, a drzwi pójda w drzazgi.

Krzeselka kurczyły się w oczekiwaniu silnych emocji, gdy na salę obrad wkroczyła spółka literacka Icek et Chaim. Po chwili zaczęli napływać — jak to się mówi — konno i zbrojno, drzwi miały oknami przedstawiciele sosnowieckiej elity umysłowej.

I zebranie zostało otwarte. I zebranie zostało zamknięte. A między otwarciem a zamknięciem działy się rzeczy takie:

P. O. korespondenta puścił w ruch oźór długi, centkowany, kręty, wytuszczonej program pracy. Ogólne hanoarsko - rewizjonistycznie - bezpartyjnie - socjalistyczne zasuchanie przerywały od czasu do czasu smętne wywody podkomisji redakcyjnej t. j. weteranów z poprzedniego zebrania.

Przeprowadza się pięćoorzymiotnikowe wybory na osobistą sekretarkę koła. Jednogłośnie przechodzi ogólnie znana i ceniona działaczka społeczna Halinka. Ustalono składkę pięćoorzostowa, i wskazówki Instytutu Badań Cen i Konjunktur natychmiast poszły w górę, wróżąc rychły koniec kryzysu.

Icek wyjechał z głęboko przemysłaną teorią o stosunku do jednostki i odwrotnie. I byłby się dalej rozwodził nad urzędzeniami tego świata, gdyby nie ironiczne spojrzenia przewódźni rebeliantów, Reni. Płomień tej spoirzei musiał na chwilę zamyślić, oancerzone okularami oblicze, budząc się z marzeń o isticie prabytu. Pogardliwym wzrokiem spojrzal na zgro-

madzenie i czyniąc aluzję do znacznej większości zebranych, jał rozprawił na temat pochodzenia człowieka. Aluzja Zdziszka wywołały żywy odruch na sali. Potomkowie pwanjów pobili się z potomkami plaks rogatych (cebus fatuellus). Przewodniczący widząc, na co się zanosi, przerwał zebranie.

Rybki w akwarjum odetchnęły z ulgą.

## ZEBRANIE III

Przed zdumionymi oczami słuchaczy Icek rozwinął front włosko - abisyjski. Pokój powoli zamieniał się w pole bitwy, a w powietrzu unosił się ciężki opar gazów. Gdy Icek skończył swe przemówienie, Zdziszek dyskretnym ruchem otworzył okno i z ulgą odetchnął świeżym powietrzem. Ale unosił się w nim jeszcze faszystowskie opary. Tym razem me był to atak wojsk włoskich, lecz nagłe oświadczenie się za rewizjonizmem Arka. Odpowiedziało mu głuche milczenie. Wobec tego Artek demonstracyjnie wstał i z miejsca rzucił „Bagaliii”

Ponurą odpowiedzia była prośba sekretarisa o dymisję, która też natychmiast została przyjęta z niekamaną radością.

Powszechną konsternację wywołało zjawienie się niesamowitych postaci, prymusa jednego z zagłębiowskich gimnazjów, który to prymus, uśmiechnąwszy się z dystygnowaną ironią, objął w posadanie należne mu z wieku i urzędu miejsce przy drzwiach.

Protektorka jego, Tusia, bojąc się kompromitacji swego pupilka, zachęciła go urodzicielsko - karcącym spoirzeniem do objęcia urzędu sekretarza, połączonego z honorową funkcją skarbnika. Natychmiast też przeszedł w jego ręce portfel akcyjny na konanie tematów. Nowy dostojnik milczał z takim wdziękiem, że zachwycił całe audytoryjum.

Ale przejdźmy do treści historycznego zebrania. Nieutulony w żal Chaim wygłosił referat (wiadomo, Zaduski) o przedwczesnie zmasle dla koła sekretarce Hall. Ale więcej już o niej pisać nie będziemy. O umartwych przecież nie mówi się źle.

Gdy mowa żalobna Chaima miata się ku końcowi, do drzwi zapukała eteryczna blondynka Irika, która wytrychem nagłego wniosku otworzyła dyskusję na temat: poco zebrałmsy się tu wszyscy — jak jest porządek dzienny i do czego właściwie dązamy.

## EPILOG DYDAKTYCZNY

Wyżej opisane pierwsze zebrania — to ciężki okres zmagani i trudów przy organizowaniu naszego koła sosnowieckiego i na nich też kończymy opis pełnych poświęcenia walk z przeciwnościami.

Chcielibysmy jednak ze względów dydaktycznych zwrócić uwagę inicjatorów kół literackich na te typy i typki, z którymi w pracy swej spotkać się muszą.

## A więc:

### TYPY, NIEBEZPIECZNE DLA OTOCZENIA.

Osobników o instynktach zbrodniczych, zagrażających pokojowi, meblom i pogodzie ducha należy łepić bez litości. Przedewszystkiem mordców rodzimych i zagranicznych poetów czyli recytatorów, następnie fanatyków, gotowych wysadzić w powietrze całą kulę ziemską, byleby na niej pozostał wolny skrawek dla ich idei. Wkońcu zwrócić deptakowi miejscową Kleopatę.

### TYPY ŁAGODNE.

Wyznaje one zasadę niespreczewiania się złu i nie sprzeciwiają się wogóle niczemu, ani też nigdy nie twierdzą niczego napewno. To idealny materiał na członków koła i obywateli państwa: swoje pięć groszy piacą punktualnie.

### TYPY FILOZOFICZNE.

Słowo filozof oznacza przyjaciela nauki, ale w naszym środowisku oznacza także nudziarza, którego wywody powołują u słuchaczy opuszczenie jelit. Może to uczynić zapomocą rozprawy fizycznej p. t. „Zezdeń absolutu, a powstawanie ciężkiej wody w kalużach” — albo pracy socjologicznej, bez tytułu, przycem ca-

te koło głowić się będzie nad nim, jedni zatykują „Marx w raju”, a drudzy „Bezrobocie przez rogowe okulary”. Wkońcu filozof oburzony, że nikt nie rozumiał subtelnej symboliki, zaprojektuje tytuł: „Pod zielonym abażurem”. Potrafi on przez kilka godzin zastanawiać się nad tem, dlaczego strona Małego Przeglądu dzieli się na pięć a nie na 6 szpał, albo dlaczego w przedłużeniu bieguny północnego znajdują się Gwiazda Polarna, a nie Krzyż Południa.

### TYPY CZYNNY.

Czynić, to niczytko znaczy dużo robić, a mało krzyczeć. Może być też niekiedy odwrotnie. Dobrze, jeżeli tylko krzyczą. Pokrzyczą, pokrzyczą i wkońcu pójda. I aż do następnego zebrania siedzą spokojnie, czując się w swojej norze bezpiecznie, bo wiedzą, że nikt nie przyjdzie do nich po artykuły. Gorzej, jeśli przewnie uznają i hasła swoje chcą w czyn wprowadzić: Tusia np. wciąż żąda zniesienia niewolnictwa w Erytrei i ustanowienia matryjarchatu w naszym kole. Jeszcze podlejse zasady głosi Natalli. Żąda on mianowicie na 15 członków w naszym kole 30 komisyj, aby każdy mógł pracować społecznie!

Największą zakałą koła literackiego są literaci. Przyjdzie takie coś — blade, roztagnione — siądzie w kątku i tylko czeka na sposobność, aby wywać rękopis. Tvłkoby czytał i tvłkoby gadał o literaturze. Ani do zabawy, ani do snortu, ani do porządku dzien nego.

Wyrzucie wszystkie typy tych szkodników, a będziecie mieli prawdziwe koło — z poradnikiem dziennym i księgą protokółów. Wszyscy zaplacą punktualnie swoe 5 groszów, wszyscy przyjadą punktualnie. Kupicie zielone sukno, drzwonek i karafkę. Będziecie miłi światu spokój i błoga cisza. Tylko rybki w akwarjum, patrzac na was, pozdychają.

### KOŁO SOSNOWIECKIE.

W okresie wakacyj zimowych odbędzie się doroczny

## turniej szachowy o mistrzostwo „Małego Przeglądu”

Zgłoszenia przyjmowane będą od dnia dzisiejszego do niedzieli 22-go grudnia (kierować do redakcji, W-wa, Nowolinki 7)  
Do turnieju przystąpić mogą wszyscy czytelnicy i czytelniczki „M. P.” w wieku do lat 13. W zgłoszeniach uczestnicy powinni podać: imię, nazwisko, wiek, klasę i dokładny adres.

LUSIA z Częstochowy.

# ŚLADY

Teraz miał czas dosyć. Mógł stadywać, wygodnie rozparzy, na stołku koło wleżycie kąpiącego ziewu, zamykać oczy i myśleć, o czym tylko zapragnął. Tego nikt mu nie mógł zabronić. Sublokatorzy kręcili się po kuchni, pani Bergman co chwila podbiegała z wiaderkiem po wodę, ale Hubert jej nie przeszkadzał.

Hubert! Jego ojciec zawsze miał wielkopiąskie fantazje! Zwyczajny pachciarz z galicyjskiej wioski, który wzbogacił się na wojskowych dostawach, kupił majątek ziemski, nabawił ogłady, stracił majątek i wreszcie wygodnie wyniósł się na tamten świat, zostawiając wdowę z dzieckiem o arystokratycznym imieniu... myślał gorzko Hubert.

Pamiętał dobrze krótkie, futrzane półkoruszki ojca i wysokie buty do konnej jazdy, pamiętał zapach dużej jadalni (woń likierów i dymu cygar) i hałaśliwe zebrania, pamiętał zresztą zapach perfum, pięknej pani, i lzy matki...

No, dzieciństwo przynajmniej miał bezroskie... Aż do pewnego momentu. Tak. Wzdrygnął się — i znów miał pięć lat i siedział na stonkach werandy. Obok niego stał kufel, mieniący się barwanymi kolorowymi nalenek, gdzieś, poza jego plecami, słuchać było dwa głosy — jeden meak, unoszący się do krzyku, drugi cichy — mactawny. Orród pachniał mocno, trawy były mokre od świeżego deszczu, Afaks leżał poniżej jego stóp, na schodkach werandy, sierść jego lśniła od wody. Matka stanęła za nim i powiedziała:

— Synusiu, synusiu, jakże to można siedzieć tak na schodkach? — i pocałowała go.

Andrzej wziął kufel na lewe ramię i ruszył ścieżką między mokreimi krzakami piwonii — ku furcie. Matka postawiła go spowrotem na schodku i poszła za Andrzejem — u furtki obejrzała się za nim raz jeszcze.

Siedział znowu na schodku i patrzył za nią — aż zniknęła. A potem długo wpatrywał się w ślady na wilgotnej ścieżce — lekkie wgniecenia, podchodzące wodą (bardzo mokro było po deszczu) prowadziły aż do furtki. Temi śladami pobiegł ścieżką, rozpryskując wodę. Zatrzymał się nagle, chwycił ognisty łeb piwonii i potargał go na strzępki. Potem przyszedł po niego panna Melanja.

Ale przecież matka wróciła od rodziców, kiedy tamta odeszła — nie powinna była wracać... A ojciec kiedy już przeprowadził się do miasta, wyjechał w Alpy — śmierć też musiał mieć arystokratyczną... myślał Hubert z gorzką satysfakcją.

A matka została z nim — jak się zmieniła! No pewnie, praca u szwaczki nikomu nie służy, zwłaszcza, jeśli ten ktoś nie był do pracy wogóle przyzwyczajony.

Pani Bergman znowu przydesztala, tym razem z ezamnikiem i oowakata Huberta — od stóp do głów — przenosiła go trwożnie i niepewnie. Zaledwie odburknął: miał przed oczyma nową wizję.

Był wtedy w szóstej klasie, ona w siódmej. Na-

zywała się Pola, ale mówiła o sobie Lili i kazała się tak nazywać. Nazywał ją tak... Miała czarne gęste włosy i czesała je codziennie... Oczy miała czarne, śniada była — nie opalała się nigdy. Była wyższa od Huberta i bardzo szczupła. Jak tańczyła! Wyginała się cudownie, a zimą nosiła futro, takie czarne. Hubert wiedział kiedyś, jak się takie nazywa.

Podobał się jej najniżej bardzo, podobano się jej jego imię... Chodziła z nim po ulicach i mówiła: „Hubercie, Hubercie... Mówiła też, że Hubert napewno ma takiego szweda w rodzinie, bo ma taki wyślad „północnego bohatera”, mówiła o nim „jasnowłosy wilking”.

— Tak, wtedy byłem jeszcze ładny — myślał Hubert i wyobrażał sobie swoją krostowatą twarz i ostrzyżone przy skórze włosy i porównuje ten obraz z Hubertem z tamtych czasów.

— Chłonec nie powinien wścieć o swojej urodzie — przypomniał sobie słowa Basii...

Tak, ale Basia sama była brzydka i zresztą stanowczo za mądra, jak na dziewczynę...

Tamto było w mieście. Pożegnała się z nim zwyczajnie, Hubert stanął w oknie za firanką i patrzył. Na śniegu zostały wyraźnie odbite ślady jego stóp, w odległości wydawały się całkiem niesbieskie. Wtedy przypomniał sobie, że już tak stał kiedyś, bezbrzeżnie smutny i patrzył na ślady szczęścia, które już odeszło — i nie wróci nigdy. Matka wprawdzie wróciła, ale wtedy już i Hubert był inny i — ona.

Drzwi otworzyły się cicho i wszedł Henio. Stał przy Hubercie, rękę położył na jego kolanie i prosił: — Przetłumacz mi to, bardzo cię proszę. Jutro będzie napewno odpowiadał.

I Hubert tłumaczył, co to jest cum caesura i dlaczego w tym zdaniu o Cezarze jest conjunctivus.

# List z Ejn Harodu do dzieci „Domu Sierot“

Moi kochani!  
Jak człowiek wybiera się do Palestyny, to gąpy myślą: będzie, jak Izak w korkowym kapeluszu całymi dniami na rowerze jeździł, po dwa lub trzy razy dziennie w morzu się kąpał i winogrona lub pomarańcze, zamiast grochówki i kartofli zjadał. Ja nie w'cm, jak jest w całej Palestynie, bo stale mieszkam w jednej wsi — Ejn - Harod się na żywa — ale tu jest dzwonek na budzenie, jak u nas. I ciemno teraz rano i wielu ludziom ciężko, jak u nas, wstać do pracy. I dzwoni do szkoły, i na posiłki, i do pracy i po pracy dla dorosłych. I plan codzienny tak samo wygląda, jak u nas, na tej pracowni wsi. Tylko wieczorami i w jeden wolny dzień w tygodniu do rośli mają czas, a dzieci nie więcej, niż wy.

Świąt nawet mają o wiele mniej, niż wy, to też urządzają sobie różne uroczystości tak, jak my podług naszego kalendarza. Tylko u nas w dzień kuchni, czy pracowników wieszka się tylko taflę i rozdaje cukierki, a tu posłuchajcie, jakie były w tym tygodniu uroczystości.

Pierwsza rocznica poświęco - na była nowourodzonemu jagniątku.

Szkola razem z przedszkolem mają małątkę obórkę i pierwsza przez nich wyhodowana owca urodziła właśnie to jagniątko. Matka—owca nazywa się Chumka, bo ma brązowe łaty, a po hebrajsku brązowy to jest Chum i mała córka też ma brązowe plamy. Nasza Chumcia wcale nie wie, że może dlatego nazywa się Chuma, bo właśnie nie lubi myć rąk i ma często takie brązowe, jak... opalone troche.

Wiec na tej uroczystości było 140 dzieci ze szkoły i z przedszkola. Odśpiewano wszystkie

znane piosenki o owcach, baranach i pastuchach. Jeden chłopiec z V oddziału opowiadał nam głośno i śmiało swoje wspomnienie o dzieciństwie Chumki, kiedy on jeszcze był mały w I-ym oddziale. Mówił bardzo prędko, ale wszyscy rozumieli. Drugi chłopiec opowiadał wszystko dokładnie, jak dowiedział się o urodzeniu jagniątka rano, kto je pierwszy obejrzał, co jeść dostaje i t. d. Starszy chłopiec z VII oddziału zagrał na organkach smutną piosenkę. Jakby grał na fularce, pasąc stado.

Widz'cie, że sami chłopcy braли udział. Można dlatego, że trzeba było prędko: bez przebieorów, bez przygotowania, bez prób i bez... obrażania.

A później przyniesiono puhar nie wielki, bogaty Gordon - Beneta, ale mały, skromny, taki „puharek“. Te najwyższe nagrody dostała szkola w Ejn-Harod nie za skoki, biegi, zawody, ale za cierpliwość, uczciwość, pracowitość, własnym ogrodzie szkolnym. Widz'cie pierwsze takie odznaczenie, otrzymane przez dzieci od państw. Tow. Roln. które w całym kraju oglądalo ogrody szkolne. Nauczyciel, wręczając ten puhar, powiedział krótko: „pracujcie dalej sumiennie nie dla nagrody.“

Innego dnia była uroczystość Zerubawela. Kto czytał Mały Przemad przed dziewięćmi laty, pamięta może małe wierszyki, tłumaczone z dziesięć gazetki z Ejn-Harodu. Wiersze — pierwsze utwory uczniowskie Zerubawela. Miał wtedy 10—12 lat. Teraz wyszła z druku pierwsza książka jego poezji. I z tej książki jedno jego wierszowne wiersze czytano, deklamowano, śpiewano i o tych wierszach mówiono i dobrze i z krytyką, ale serdecznie i życzliwie, jak o wychowanku tej gro-

mady. To święto Zerubawela skończyło się o 1-iej w nocy, a o 4-iej rano musiał już nasz poeta wstać na codzienny dyżur w kuchni i w roboczej bluzie rozdał nam z ciężkich tac śniadanie.

My dorośli jemy w ogromnej sali dla 500 osób, a przy dobrych chęciach może się i więcej z gośćmi pomieścić. Dzieci szkolne przedszkolne i młodsze mają oddzielne jadłalnice.

Gożąco teraz w dzień jeszcze bardzo, ale między nocą i dniem może być 20 stopni różnicy i to jest właśnie zima. Muchy spokoju nie dają, nie kłamię przystojnie, które mówi: „uprzykrzony, jak mucha“. Coraz widać roje i sznury różnego płactwa, które od was odcięto na zimę, jak uczycie się na przyrodzie „do gojących krajów“.

Spadło już kilka deszczów, a będzie ich coraz więcej. Wtedy u nas jest takie błoto, że małe dzieci wcale wychodzić nie mogą. Ale to nie jest warszawskie błoto, ani nawet goławska, ani żadne wiejskie w Euroocie.

Wies jest duża, prześliczno. Od szkoły do stołarni lub kurników, od domu swego do szwalni, obory lub czytelnicy, to grzeźniesz w tem błocie, jak na gliniankach. Buty — o pantoflach mowy być nie może — są tak oblepione, że nie od błota, coraz przylecia się nowa warstwa, wciąż przwbwają i przybwa, aż z trudem dochodzą, a wtedy dołrolo bieda, jak wieść do nokoju.

To też dopiero, gdy słońce za jasniecie, „warto“ czwicz oburwie na dobre. To wpada w porze deszczowej rzadko, więc też rzadko odbywa się to ogólne czyszczenie butów, jak to lubi Bela, Chaim, a nawet wielu z drugiej kategorii. Szkoda, że nie ma tu pana Edka z aparatem,

aby sfotografować, jak to czyszczenie się odbywa. To praca trudna i długa, ponadka i ściecjadamy te wszystkie „braki“ t. j. trochę uszkodzone, bo z najmniej casy nożem, zmywasz wilgotną szmatą, żeby pomóc szczotkom. ani nigdzie na sprzedaż nie wol-Długo, cierpliwie, doświadczeni radzą młodszym i wychylają swoje sposoby. Wiele nosi cale gumowe buty.

Błoto imie, ale i ziemia inna. Pamiętam, przed sześciu laty oł brzymie kamienie na wielkim ugorze. Teraz pardes na tem miejscu. Drzewa greprutów, obwieszono owocami.

Ale nim takie owoce wyrosły, trzeba było drzewa przez 6 lat pielegnować, opatrywać, karmić. Samego tyko podlewania posłuchajcie ile: przez trzy pierwsze miesiące trzeba podlewać trzy wac aż zrobia tóżko w stołarni. Jeden dziennie. Posłuchajcie, nie radej zagonek, nie jedną doniczkę, ale cale sady, gaje, tysiące drzew pomarańczowych na polotła „gweret“.

Zamiast sobie teraz rece na okłaski, lepiej utwójcie te sily miesiające codziennie jeden raz też na napisanie do mnie. kto ma każde drzewko oddzielnie, po pół roku jeden raz tygodniowo a pół niej już jeden raz na trzy tygod-

nie, ale bardzo duzo wody dla każdego drzewa. A teraz my za-trudna i długa, ponadka i ściecjadamy te wszystkie „braki“ t. j. trochę uszkodzone, bo z najmniej casy nożem, zmywasz wilgotną szmatą, żeby pomóc szczotkom. ani nigdzie na sprzedaż nie wol-Długo, cierpliwie, doświadczeni radzą młodszym i wychylają swoje sposoby. Wiele nosi cale gumowe buty.

Na zakończenie podziękuję wam za wyprawę dla tałki. Okazała się dla przedszkola za trudna do ubierania, ale II, III oddział tak się zachwycają, że niechętnie oddają ją pierwszemu oddziału. Najlepiej podobają im się: piżama Mindli, wszystkie fartuski, czapki, sukienki - chłoptok, tutaj zwane „halucki“ i podwiązki. Nawet chłopcy z II i III oddziału chętnie ją ub'erają i donytują się, kiedy i w jakich ubraniach chodzą? Koldrę trzeba było scho wac aż zrobia tóżko w stołarni. Bardzo wszystkim się cieszają oglądając raz po raz. Najmniej po doba im się kanietusz Binema, bo to dla „gweret“.

Zamiast sobie teraz rece na okłaski, lepiej utwójcie te sily miesiające codziennie jeden raz też na napisanie do mnie. kto ma każde drzewko oddzielnie, po pół roku jeden raz tygodniowo a pół niej już jeden raz na trzy tygod-

Stefa W.

## KOŁA KORESPONDENTÓW I REPORTERZY

MAŁEGO PRZEGLĄDU NA PROWINCJI  
BIAŁYSTOK: — Wienio Zabłudowski, ul. Polna 5 m. 1.  
CZESTOCHOWA: — Bronisław Wien, II Aleja 28.  
KATOWICE: — Jakób Poliszuk, ul. Jordana 17 m. 5.  
KOWEL: — Maksymilian Horowitz, ul. Wojskowa 11.  
KRAKÓW: — Lew Landau, Batorego 17.  
ŁÓDŹ: — Regina Kwiatkowska, ul. Główna 51 m. 4.  
OTWOCK: — Szlamek Kurcband, Warszawska 27 m. 2.  
RADOM: — B. Chmielarz, Siowackiego 100.  
SOSNOWIEC: — Ludwik Rajchman, ul. Stara 5.  
WILNO: — Bela Kinkalkinówna, Wielka Pohulanka 17.  
ZAMOŚĆ: — Dorka Goldgraberówna, Al. Piłsudskiego 18.  
Czytelnicy, pragnący nawiązać współpracę z Małym Przeglądem, mogą w tej sprawie porozumieć się z reporterem danego miasta.

## ZABAWA CHANUKA W „MAKABI“

W niedzielę dn. 22 grudnia odbędzie się w lokalu „Makabi“ (Nalewki 2a) zabawa chanuka wa dla dzieci. Przewidziane są liczne upominki i niespodzianki. Wejście bezpłatne, płatna jedyna szatnia.

## POWIEŚĆ D Y C I z Zamościa

# R O W E R

Posyłam powieść. Pisałam ją od czerwca do dziś. Dwa razy chciałam ją rzucić, bo nie szło. Zrobiłam przerwę, a potem poszło gładko.

Najgorsza sprawa, to przepisywanie. Ręce poprostu mdleją, a nikt nie chce mi pomóc. Każdy ma swoje sprawy.

„Rower“ napisałam, aby się przekonać, czy naprawdę potrafiłabym ułożyć powieść. Dwa razy o mało nie uśmierciłam Kazia, ale musiałabym wpakować Cesia i Romka do domu poprawczego, minęłabym się z tematem, po drugie nie wiem, jak jest w domu karnym. Słyszałam, że źle, ale to mało, by pisać.

Treścią tej powieści w większej części stały się zażyszczenia szczegóły z życia mego brata, (zabilyby mnie, gdyby wiedział, że o nim piszę), duzo rzeczy zmyślonych i nawet kilka chwil z mego własnego życia.

Obecnie myślę trochę odpocząć, a potem znowu zabrać się do pracy. Proszę zupełnie szczerze powie-dzieć mi, czy ta praca jest coś warta. Byłoby mi smutno, gdyby się okazało, że naprożno się trudziłam, ale wolę prawdę.

Gdyby się znalazły jakieś błędy ortograficzne, to proszę wybaczyć; ostatnio jestem w niezgodzie z pi-sownią.

### ROZDZIAŁ I. — LATO.

W maleńkim mieszkaniu na przedmieściu małoważnego miasteczka, siedzielo przy stole troje dzieci: dwie dziewczynki i młodszy brat. Grali w 66. Wczoraj nauczyli się w tej gry i dziś od rana grali.

Śniadanie stało nietknięte na stole, a oni siedzą przy kartach.

Przez okno widać czerwieniejące maki, dumnie wznoszące się słoneczniki, ale dziś to ich nie obchodzi.

Siedzą i liczą karty, zupełnie karykatury starych.

W pokoju cicho. Nagle Kazik spostrzega osu-

stwo Ewy i z całej sily uderza ją w twarz.

— Swinia! Już z tobą nie chcę grać.

— Sam jesteś swinia. Chodź Fela, zagramy w kamienie.

Chłopak jak niepyszny odchodzi. Żal mu, że przewal siostrę, ale jej fałszywa gra oburzyła go.

Wstrętna — myśli — pójde do rzeki.

Po chwili, wlożywszy majteczki kąpielowe mknie przez sąsiednie podwórko i kąkę do rzeki.

Przy rzecce mnóstwo ludzi, starszych i młodszych, i dzieci.

— Te, frajer, nie idź do wody, bo się utopisz — żartują z niego czeladnicy.

Ale on nie zważa na ich przestrogi i pięć minut jest w wodzie.

Boska rzecz ta woda. Ach, gdyby jeszcze umiał pływać, myśli — przecież dzisiaj przyjdą chłopcy z miasta i przekonają się, że nie umie.

Po chwili pyszna myśl przyszła Kazikowi do głowy. Niedaleko kąpie się kuzyn i jeszcze jeden kolega, założy się z nimi o to, kto dłużej trzymać będzie głowę w wodzie.

Propozycja zostaje przyjęta z uznaniem i trzy chłopaki jak na komendę wsuwają głowę pod wodę.

Po chwili Kazik wyjmuje swą głowę i z bezgłośnym śmiechem patrzy na dwóch głupców. Ale gdy widzi, że woda rzuca się kolo głowy kuzyna, prędko chowa swoją do wody. Zdumienie chłopców nienta, granic, gdy wysunąwszy tyb z wody widzą Kazika w wodzie.

To ci zuch — myśli — i po chwili oddają mu przegrane trzy żołnierskie guziki i kawalek sznurka, który ma być początkiem walki.

### ROZDZIAŁ II. — RYBOLÓSTWO.

Przez cały tydzień Kazik do spółki z synem ogrodu mczki Chany przygotowywał wędkę.

Najpierw poszli do lasu i przynieśli cały pęk kłojów. Strugali, młli i wreszcie z całego pęku został im tylko jeden chudy kł.

Zaczęła się kradzież korków i butelek. Mimo naj-

lepszych chęci żaden korek się nie nadawał, trzeba było kupić specjalnie duży. Po całotygodniowej pracy wędka była gotowa. Wszystkie siostry zajęły się tapaniem robaków i much, wkońcu Kazik z miną bohatera wyruszył na ryby.

Poszedł o szóstej zrana, wrócił o dziesiątej wieczór, ale pozał się Boże w jakim stanie.

Włosy miał wydarto na czubku głowy, twarz podrapana i nos spuchnięty, ale z kieszkeni sterczały mu dwie najprawdziwsze rybki, obłe wielkości małego palca u ręki.

Opowiadał, że połów był znakomity, ale banda wiejskich andrusów napadła go i mimo oporu zabrała mu duzego karpia.

— To nic, ja się zemściłem. Podbiłem dwum oko!

— Jaktó? — zawołał Ewa — to obaj mieli razem jedno oko?

— Ech, głupia, jak nie rozumiesz, to się nie odzywaj.

I już więcej nie chciał mówić.

### ROZDZIAŁ III. — LAUBZEGA.

— Mamusiu, gdybym miał laubzegę, tobym siedział spokojnie, i nikomu nie dokuczał — tłurowczył mamie Kazik.

Mama po uporzecznych prośbach zgodziła się i pewnego dnia syn wrócił z miasta, przynosząc laubzegę i pilki. Zaraz pobiegł po dyktę. Wydał złotówkę mówiąc, że odbierze sobie z nadwyżką, kiedy wytnie ramki do obrazów.

Po całych dniach rysował bajeczne wzory a potem piłował. Siostry przylgowały się temu z nabożnym skupieniem. Wkrótce jednak sprzykrzyły się im ta bezczynność, więc opuścili brata i poszly do ogrodu, gdzie dojrzewał młody bób.

Chyba nic tak nie smakuje, jak zielony młody bób niegotowany, jedzony w kartoflach, żeby mama nie zobaczyła, bo legie byłoby lanie.

Po kilku dniach Kazik miał mnóstwo ramek różnej wielkości. Były doprawdy ładne. Z wielkiej radości pozwolił siostronom gładzapieniem oczyścić je z kłki, co też z powagą uczynily.

Przez wakacje dom napełnił się mnóstwem ramek, i dotychczas kilka z nich wisi w kuchni i w przedpokoju, reszta zniknęła w sposób tajemniczy.

(D. c. n.)

# PRAWO A DZIECI

„Zakład Poprawczy“ zastępuje więzieniu dla „nieletnich“. Na dom poprawczy skazuje się winowajca, który ukończył lat 13, a nie ma jeszcze siedemnastu i który zdawał sobie sprawę ze znaczenia czynu t. j. według terminologii kodeksowej „działal z rozumnym umiarem“.

W przeciwieństwie do dorosłych przestępców, których skazuje się na rok-pół roku czy kilka lat więzienia lub aresztu, sąd dla nieletnich skazuje na dom poprawczy bez określenia czasu kary. Jest to niepotrzebne, gdyż według kodeksu karnego w zakładzie poprawczym pozostaje się do 21 roku życia, czyli, jak tego chciała matka Janka, „do wojska“.

W stosunku do nieletnich sąd ma bardzo szerokie uprawnienia. Może więc do winowajcy, który zasługuje na zakład poprawczy, zastosować środki wychowawcze i oddać go pod dozór rodzicom lub opiekunom. Może skazać na zakład poprawczy karę zawieszoną np. na dwa lata. Przez te dwa lata stosuje się „środki wychowawcze“, a po upływie tego czasu, jeśli skazany dobrze się prowadzi i nie cofnięto zawieszania, skazanie uważa się za niebyłe. Może także już umieszczony w zakładzie poprawczym, który przebywał tam pół roku, warunkowo zwolnić na pewien czas. Jeśli przez cały czas warunkowego zwolnienia zwolnionemu dobrze się prowadzi i nie cofnięto tego zwolnienia, skazanie uważa się za niebyłe.

Sąd więc może dać „nieletniemu przestępcy“ wiele okazji do poprawy i do zatarcia, przynajmniej formalnego, śladów swego czynu. Przypadałoby więc, że sąd zwykle z tych uprawnień korzysta. Niestety, nalespsze nawet wola sędziego z trudnością pomaga, gdy okoliczności i warunki pobicia dzieci biedoty miejskiej i wiejskiej do występków.

Pani sędzia wywołuje sprawę Józka. Przed stołem staje wysoki, przgarbiaw robotnik o ponurym wyglądzie:

— Przecież on u mnie nie mieszka — oznajmia na wstępie.  
— A gdzie się podziewa?  
— Albo ja wiem, po polach

się włóczy... Od kwietnia już go w domu niema. Zabrał mi kociuch kamizelkę, zegarek i parę złotych i tyle go widziałem.

— Czemuż on tak wciąż ucieka — pyta pani sędzia, która niejednokrotnie rozpatrywała już sprawy Józka — czy mu w domu źle?

Ojciec milczy, wzduszając ramionami. Wywiad środowisko wy, znajdujący się w aktach sprawy, stwierdza, że w suterenie w jednej izbie mieszkały dwie rodziny: razem 9 osób. Matki Józki nie ma. Ojciec bezrobotny. Troje młodszego rodzeństwa. Wystarczająca odpowiedź na pytanie sądu.

Ucieka zresztą wielu. Uciekają przed zaduchem ciasnych izdebek, przed ciągłymi kłótniami i zwadami żrącymi się w ciągłej nędzy domowników, przed pięślaniami i pasami rozdrążnionych i wiecznie ponurych rodziców, przed głodem, oszukiwanym miszką suchych kartofli. Wiedzą, że „wszędzie źle, ale w domu najgorzej“. Oddane pod „odpowiedzialność nadzór“ dotychczasowej opieki nie zmienia w niczym sytuacji małego winowajcy. Prawdopodobnie będzie nadal uciekał z domu i żył tak jak dotychczas.

Trzeba sobie powiedzieć prawdę: większość z tych dzieci nie ma żadnej opieki faktycznej. Niektedy w sądzie nieletnich wychodzą na jaw fakty, dowodzące, że często nawet nie ma formalnej opieki nad nimi.

Piętnastoletni Franek, oskarżony zresztą niewinnie o kradzież roweru, przechodzi do sądu z dwudziestoletnią siostrą, urzędniczką biurową.

— Rodziców nie mamy — wyjaśnia panienska — ja jestem opiekunką. Mam lat dwadzieścia.

— Trudno uznać nienoletnia siostrę za opiekunkę — opiniuje pani sędzia. — Kto z wami mieszka?

— Mieszkamy sami, we dwoje.

— Co robi Franek?

— Skończył szkołę powszechną. Jest praktykantem w tym samym biurze, gdzie ja pracuję.

— Kiedy umarli rodzice?

— Mamusia przed sześciu la-

ty, a tatuś cztery lata temu.

— Czy zostawili coś?

— Tylko meble.

Szesnastoletnia dziewczyna i jedenastoletni chłopak zostali samymi na świecie. Siostra nadgryzła walczyła się bratem, utrzymując go ze swej mizernej pensji, a po ukończeniu przez Franka szkoły, wywierała mu siłę o posadę. Wobec prawa jednak ani ona sama, ani jej brat nie mają opieki, bo opiekun musi być pemołeni. Gdyby rodzice ich zostawili ja-

kiś majątek, niewątpliwie byłaby imianowana opieką, bo majątkiem musi przelecieć ktoś zarządzać, majątek nie może się zmarnować, o majątek trzeba dbać. Tylko ludzie mogą się marnować o ludzi niezawsze się dba.

Oskarżony, który ma więcej niż 17 lat, odpowiada przed zwykłym sądem a nie przed sądem dla nieletnich i podlega zwykłym karom kodeksowym, a więc może być skazany na grzywnę, czyli karę pieniężną, areszt, więzienie, a nawet śmierć.

Wśród oskarżonych w sądach dla nieletnich spotyka się wielu analfabetów. Zwykle był w szko-

le, ale go odebrano, bo „był potrzebny w domu“ albo „rodzice się przeprowadzili“ albo zyczanie przestał się uczyć, bo nie było pieniędzy netyfiko na książki, ale i na buty — ot i teraz widać do sądu przyszedł bosy. Był już w drugim oddziale umiał czytać, ale zapomniał i dziś nie rozumie nawet liter.

Najszczęśliwsi są ci, którzy się dostali do sierocinców. O ile dotychczasowe życie nie zdemoralizowało ich do szczęścia, można mieć nadzieję, że nie wrócą do przestępstwa.

N. E.

# Historja nadgryzionej gumki

Kilka dni temu, szulając czegoś wśród moich starych rupieci, znalazłem małe pudełko, a w niem gumkę, trochę nadgryzioną, małe szkło powiększające i okrągłą temperówkę. Wzięłam te skarby pokolei do ręki, obejrzałam ze wszystkich stron. Zrobiło mi się dziwnie przykro. Czulałam, że mocno się rumienię. Wszystko stanęło przedemną, jak żywe.

Miałam wtedy sześć lat. Po śmierci ojca przeprowadziliśmy się na małą, wąską uliczkę, do małego, wąskiego pokoiku. Starsze rodzeństwo chodziło do szkoły, matka pracowała dla nas wszystkich, a ja i młodszą siostrzyczka byłymi wojnie od pracy i nauki.

Przed oczyma staje mi mały sklepik z napisem: mydlarnie. Często ja sama kupowałam tam naftę i mydło. A gdy mama robiła pranie, posyłała mnie po chlorek i makę kartoflaną. Zawsze po drodze powtarzałam sobie: pięć deko chlorku i reszty 2 gr., 5 deko chlorku i reszty 2 grosze... i tak aż do sklepu.

Właśnie w sklepie, gdy już miałam powiedzieć, czego mi potrzeba, zapomniałam. Może to była wina tych pięknych aniołków, co ze sznurka miłutko uśmiechały się do mnie, a może tych złotych i srebrnych gwiazdeczek, co się tak ślicznie świeciły. Nie wiem. Ale zawsze z bekiem biegłam spowrotem do domu, albo zamiast chlorku przynosiłam bielidło.

I właśnie w tym sklepie, gdy wszedłam raz po naftę, zobaczyłam na podłodze dwie duże, bla-

le gumki. Takie ładne. Zerknęłam na nie jednym, potem drugim okiem. A możeby je wziąć? — pomyślałam sobie. Jakto wziąć? Jak ty możesz? Przecież to nie twoje! A jednak tak mi potrzebna gumka. Gdy rysuję na kartce, muszę z chleba robić gumkę i wycierać. A tu prawdziwa gumka! Ale nie waż się! Nic nie wiesz!

— Panie, niech pan przedzej da! — wołam do mydlarza.

Ale jakby na złość coraz więcej ludzi przychodzi, a sklepiarkarz wszystkich zalał. Wiadomo, dorosli, więc się spieszą. A ja muszę czekać. Ciągłe patrzę na gumki. O, ten wysoki o mało nie nadepnął na jedną. Wreszcie schylał się i podnosił jedną. Już drugie nie bierz! Ta ci wystarczy. Ale przecież on może tę drugą rozdeptać. Eh, szkoda. Biorę owo do ręki, oglądam. Może jednak oddać sklepiarkarzowi, powiedzieć, że je podniosłam z ziemi? A wtedy on mi napewno je da. Bo to przecież dla niego nie nic znaczy. Zaczęłam nieśmiało: — Panie...

— Co? co? Przecież masz już naftę, wyjdź przedzej, bo widzisz, że ciasno, no mała, przedzej!

I wyszłam z gumkami...

Czulałam, że jestem nie w porządku, ale ostatecznie...

Pełogłam przedzej do mieszkanie i odrazu zabrałam się do roboty. Kreśliłam ołówkiem jakieś zygalki i odrazu wycierałam to jedną, to drugą gumką.  
— Nusia — wołam do sio-

strzyczki — Może chcesz jedną?

I obie w milczeniu bawiliśmy się przez cały dzień.

Wieczorem, gdy mnie matka spytała, skąd mam te gumki, powiedziałam, że znalazłam na ulicy.

— Ale tu blisko mydlarnia, więc może wejść, zapytam, czy to nie jego — proponuje matka. Przycisnęłam do serca moje skarby, aby ich matka nie wzięła.

— To daleko było od sklepu, napewno ktoś zgubił.

I tak zostało. Zapomniałam wkrótce o tem, w jaki sposób zdobyłam gumki i o nich samych. Cisnęłam je do szuflady.

Ale nie koniec na tem. To był dopiero początek. Miałam koleżankę Edzię. Mieszkała na mojem podwórzu. Często przychodziła do niej, aby razem się bawić.

A Edzia miała takie ładne szkło powiększające. Jak się spojrzę przez nie, to wszystko robiło się tak duże. Nawet maćciupiękie rzeczy, prawie niewidzialne gołem okiem, stawały się wyraźne, gdy się przez to szkło na nie patrzyło.

Ach, żeby mieć to szkło! — myślałam sobie. Będę patrzyła z końca pokoju na cały pokój, a on się napewno stanie obrzydliwy.

Oprócz tego Edzia miała temperówkę. Ale nie taką zwykłą, ale... okrągłą. Okrągłą, śliczną temperówką. Gdy Edzia pozwalała mi nią czasem temperować o-

(Dalszy ciąg na str. następnej).

Skończyli. Heniek poszedł. Laciuna... Tak, najważniejszy mu było w gimnazjum. A jak się wszystko skończy? Nigdy nie można wiedzieć. A taki był spokojny i pewny siebie. Ostatecznie można mieć jedną dwójkę na maturze. Ale ścięli go przecież z historii. Jego — z historii! Wprost śmieszne.

Poprzedniego dnia wujek obiecał mu praktykę, powiedział: „No, jako maturzysta dostaniesz u mnie praktykę“. Ale wpiwer trzeba było zostać maturzystą. A on się ściął z historii!

Pamięta: czerwiec. Mury gimnazjum świeciły oślepiającą bielą, powietrze drgało z upału. Stał z innymi na skraju żółtego prostokąta — boiska. Panna Madejska szła ku nim brzegiem żółtego plasku. Do widział się od niej o swojej kłesce. Wracala potem naukow przez boisko — mała, czarna, zgarbiona. Wszyscy odpowiadali ją wzrokiem. Jej zbyt wysokie ubiory wgrzywały się w plasek — czarne robaki. Skrzypnęły drzwi budynku — znikła w cieniściej czeleści.

Hubert wpatrywał się oślepiony w głębokie ślady stóp na boisku. Prowadziły od niego do drzwi, za które już rozstrzygnięto jego los. Oczy zaczęły mu łzawić — od słońca naturalnie. Patrzył na wąski sznur rzeczek ciemno — żółtych dotków na jasnożółtej płaszczyźnie. Pomyślał bezsensownie: wędrowiec, porzucony przez towarzyszy patrzy na ślady, które im odeszli ostatni — z ostatnim zapasem wody. I on jest skazany na śmierć — na samotną śmierć z przagnienia...

Pochylił się nad zlewem, odkręcił kurek i przytknął usta do jego zimnego wylotu. Napił się i westchnął. Tak to było.

Ostatecznie i on był szczęśliwy. Czego właściwie można chcieć od życia? Przychodzimy na świat bez własnej woli, odchodzimy nie wtedy, gdy tego pragniemy — nie każdy umie ten wąski pasek czasu tak przykrawać i wymierzyć, aby być zadowolonym ze swego życia. Ja tego nie umiem — myśli Hubert z desperacją — i uśmiecha się gorzko.

Człowiek jest samotny. Może się tylko ludzi, że dobrotliwie potęgi wysłuchają jego modłów, a zycząliw ludzie wyciągną do niego rękę...

— Jestem warjatem — powiedział Hubert nagłos i roześmiał się. — Jeszcze przecież nie straciłem. Jestem młody i będzie ze mną to, co zechcę. Faktów zewnętrznych może nie potrafię zmienić, ale sam mogę być przecież taki, jakim chcę być.

Napisał do zlewu, co dało mu moralną satysfakcję, wstał, zdjął kurtkę, wzięł niewielki koszyczek, nałai do miski wody i zaczął bierać kartofle, śpijąc coś pod nosem.

— Dlaczego zawsze widziałem szczęście wtedy, kiedy odchodziło — nigdy, kiedy nadchodziło? Teraz mnie spotka szczęście. Tak — i zauważę je nie wtedy, kiedy zostawi ślady na plasku — odchodząc. Nie jestem jedynym, który nie ma pracy, ani pieniędzy, ani swojej dziewczyny... Dużo jest samotnych dziewcząt... A ja jestem młody i silny i chcę zwyciężyć... A psia-krew!

Z palca wąską strugą pociekła ludzka, zwyczajna, czerwona krew, spłynęła po ostrzu noża i zniknęła w obierzynach. Hubert uśmiechał się zadowolony. Krew przestała ciec — na ostrzu noża pozostał ślad — wąska, czerwona strużka młodej, człowieczej krwi — zapowiedź Hubertowego szczęścia, któremu wyszedł naprzeciw.

Kiedy wyobrażał je sobie dawniej — widział nieznane, najpiękniejsze krajobrazy, słońce popołudnia, palmy, morze lazurowe; czasem śnieżne, bezkresne przestrzenie w blaskach zorcz północnych; to znów góry dalekie, albo drogi, wiodące w niewiadome wśród lasów albo pól, szumiących zbżem... A nie znalazł szczęścia na szerokiej, otwartych przestrzeniach, tylko w kuchni, wśród sprzętów najbanalniejszych, nie na wielkim szlaku, ale na małej powierzchni od pieca do zlewu, od szafy do skrzyni na węgiel, nie w tłumie, wiatującym i halsującym, ale w samotności, przerywanej uwianiem się ludzi, którym był potrzebny...

— Przecież niema szczęścia poza nami, gdzieś we świecie, tylko w nas samych... Nie szczęście kiedyś w przeszłości, — ale teraz; nie w ezarownym świecie, malowanym, jak kolorowa pocztówka — ale w życiu najprostszym, sytuacjach najbanalniejszych. Najpiękniejsze światy nosimy we własnej duszy, — myślał jeszcze Hubert, podkładając ogień pod kartofle.

Płomień pożerał drzewo — jak przed wiekami, w mrokach jaskini i palił się tak samo, jak na wszystkich szerokościach geograficznych — rozpał go jeden z mieszkańców tej planety, mknącej w niedostępnych przestrzeniach wśród światów niezbadanych...

Święta misterjum ognia spłotło go z wszystkimi ludźmi — żywymi i tymi, których kości już dawno rozspaly się w proch, w ziemi, którą wszędzie jest ta sama.

Usiadł przy ogniu, zjednoczony z wszechświatem i patrzył w krwawy płomień, obejmujący miłośnię stary, emalowany garnek.

łówek, to wtedy z olwka leciały cienkie kawałeczki drzewa. Zupetnie, jak koronki.

I ta temperówka spodobała mi się. Zawsze prosiłam Edzię, aby pokazała te zabawki. Ona mi je dawała. A ja oglądałam ze wszystkich stron. Żeby to zdobyć!

I raz, gdy wszyscy w domu Edzi byli zajęci, a Edzia sprzątała, zająłłam pod szafę. I zobaczyłam obce upragnione rzeczy obok siebie.

— O Boże, — pomyślałam. Takie piękne rzeczy i pod szafą. O, u mnie napewno miałyby lepsze miejsce.

I niedługo już zastanawiając się, wyciągnęłam rękę. Schowałam do kieszeni.

Znowu poszłam do domu, tym razem moich skarbów nikomu nie pokazywałam. Ale gdy tylko weszłam, usłyszałam słowa mamy:

— Wiedcie, córka tej Lali znowu ukradła chleb w sklepie. Ale to wszystko wina matki, bo za pierwszy razem trzeba ją było oduczyć.

Temperówka i moje szkielecno kłutw mnie w rękę.

Ale i to nie był jeszcze koniec. Coarwa, w moim pudełku, które teraz znalazłam, leżały tylko skarby, ale przpomnam sobie wiele innych rzeczy, które ukradłam.

W końcu były wiśnie. Zwykłe wiśnie, trochę zęnte nawet. Leżały w koszu, a kosz stał w skle-

piku, który się szumnie nazywał: „Owocarnia“. A chłopcy z naszej ulicy zawsze patrzyli na ten kosz krzywym okiem. To nie znaczy, że on im się nie podobał.

— Żeby tak capnąć — mówił mi między soba.

I raz Mietek mówił: — Stuchaj, my tu stoimy, więc nie się nie stanie. Idź, i złap garść.

Zrobiłam, jak mi kazali. Mniek wyrwał mi z ręki wiśnie i uciekł, aby podzielić się z kolegami. A mnie dał figę...

Zato po godzinie przyszedł do mojej matki właściciel „owocarni“ i wszystko opowiedział.

Byla awantura. Ja płakałam. Matka zapłaciła za te wiśnie. Ale na przyszłość były później słowa matki.

— Wiedcie, córka tej Lali znowu ukradła chleb w sklepie. Ale to wszystko wina matki, bo za pierwszy razem trzeba ją było oduczyć.

— Teraz, gdy przpomnam sobie moje kradzieże, myślę o innych. Faiga z mego podwórka to dziś dnia kradnie. Tak samo i Jasek.

Bo ja wiem, możeby i ze mną było to samo. Ale ja mam matkę Madra, która i wyrozumiała. A oni są bez opieki.

Rysia G.



**PRZESILENIE RZĄDOWE.**

Gabinet premiera Felka podał się do dymisji. Felek na walnym zebraniu oświadczył, że przez kilka lat pracował dla dobra klasy, a teraz chce odpocząć.

Nazajutrz Romek, jako minister oświaty, poprosił Adka, nowego premiera, aby mu pozwolił zwołać zebranie klasowe w sprawach świetlicowych.

— Nikt się ciebie nie pyta — odwrąknął premier. — Jak chcesz, to zwołam.

Nowy premier zabrał się do rzeczy ostro. Przez klasę przebiegł pomruk niezadowolenia, ale nikt nie śmiał ust otworzyć, bo zarazby je ten Mussolini zamknął.

Premier rządził samowładnie, nie pytając o zgodę powołanych ministrów: prowadził pracę w świetlicy bez udziału ministra oświaty, wydawał gazetę bez wiedzy komisariatu rządu, sam porządkował klasę i zbierał z podłogi papierki bez pomocy ministrów spraw wewnętrznych.

W końcu gabinet się zbuntował i wytoczył premierowi sprawę o pogwałcenie paragrafu 13 konstytucji, w której jest powiedziane, że przewodniczący klasy kontroluje pracę poszczególnych komisji, ale nie działa zamiast nich.

Odbyło się burzliwe zebranie, które zmusiło premiera do złożenia przysięgi, że nie uszczupli praw członków gabinetu i że pozostanie wierny ustrojowi demokratycznemu. Przesilenie rządowe zostało zlikwidowane.

Arje z Białegostoku. NA MOKRO.

Wiatr zatargał drzewami. Rozległ się huk. Błysnęło. Na dachu zabębniło. Tunel zamienił się w rzekę, przez którą nie można było przeprawić się. Otworzenie pozamykali okna i pa-

trzyli na świat, jak z twierdzy podczas oblężenia.

Po tej ulewie chyba tylko zielone sosenki nie zmieniły sukcesek. Bo świat się zmienił. W kaulach poniewierali się liście akacji, a suche wiechcie gałęzi sterczały, jak bagnety. Wkrótce spadł pierwszy śnieg. Przez godzinę białł dachy i ulice, a później znów plakał deszcz, płakały dzieci, że już niema śniegu. A potem spadły klasówki. Dwójce mżyły ostro, jak kapuśniaczek. Tydzień płaczu i klęsk żywiołowych.

Na otarcie lez „Piccollo“ wystawił w kasynie rewję p. t. „Otwock na weselo“ i z dalekiej pogodnej Ukrainy przybył teatr. Sala ogrzewana była tylko ciepłym melodij ukraińskich, plynących ze sceny. Wszyscy byli omlnieni ich grą, wzruszeni śpiewną mowa i śpiewem, jak mowa serca. Jeden tylko pan był oburzony. Tego dnia akurat przeczytał całą szpaltę sprawozdania z procesu o zabójstwo ś. p. ministra Pierackiego. I zaraz potem urządził afisz obwieszczający, że w kasynie grają ukraińcy. „Co za hańba“ — krzyknął przewrażliwiony patryota i pobiegł do Kasyna. Podczas przedstawienia wstał i zaczął nawoływać publiczność do opuszczenia sali. Jedni wstali, inni znów śledzili niezadowoleni. Dopiero właściciel Kasyna wytłumaczył rożnie wnanemu panu, że są różni ukraińcy i że cały naród nie może ponosić odpowiedzialności za zbrodnię, popełnioną przez jedną organizację.

Jeden wieczór jasny i znów mrok. Któż nie znał cukierni pana Łopaty. Tej rzeźbiście oświetlonej wystawy przy ulicy Warszawskiej narzeczliwko dworca? Otóż przyjechała fura i zabrała cukiernię. Zgasło światło. ucl-

iy wesole rozmowy, kłótnie o grzybek marcepanowy. Koniec. Niema Łopaty.

Cisza bolesna. Ale co to? Zarwarczała, zawyla „syrena. Pożar! — Gdzie? — W centrum miasta. Wybuch benzyny. Wielotysięczne straty sklepikarzy żydowskich. I znowu płacz.

Jakże tu kronikę ułożyć, kiedy wszyscy płaczą? Deszcz leje, jak z cebra. ...Któs westchnął, a drugi płórem śróbnął.

Szlamek z Otwocka. POZAR.

Odrabianie lekcji przerywa mi donośny głos syreny. Wybiegam na ulicę. Pedzą nią ulicznicy i gapie. Na lecie wieczornego nieba ukazują się tła. Otwiera się gdzieśniegdzie okno, wysuwa się głowa o zaniepokojonej podobłej twarzy i pada pytanie: „gdzie się pali?“

Rozbrzmiewają dzwonki samochodów i wozów strażackich, na nich wśród sprzętu przeciwpożarowego stoją podobni do rymskich gładziatorów, strażacy w stalowych kaskach.

Biegnę w ślad za oszalałym tłumem. Oto widzę już straszny obraz spustoszenia. Drewniany budynek stoi w płomieniach, tworząc ogromną pochodnię. Ogromne jezory dymu i ognia wznoszą się ku niebu. Strugi wody, puszczane co chwila przez sikawki strażackie przypominają różnokolorowe rakiety, które z sykaniem i hukiem opadają na palący się dom. Zawala się część budowl, leca rozżarzone główne. Kordon policjantów zamyka dojścia do miejsca wypadku. Strażacy zaś walczą z ogniem.

Wśród wrzawy i tumultu przechozi noc pełna niepokoju. Nastaje świt. Wśród zgłiszcz, opuszczonych przez tłumy gapiów, kręcą się zrozpaczeni właściciele, którzy stracili dach nad głową i cały dobytek. Dopalają się belki, dookoła unosi się nieprzyjemny zapach spaliny. Gruzy i popioły pozostały po domu, zostawiając rodzinę bez dachu nad głową.

**KRONIKA RADOMSKA.**

Niestety, moi drodzy! Przyszła kryśka na matyska. To znaczy, że wracając z przedstawienia „Pana Tadeusza“, na którym bytam ze szkołą, zostałam zmuszona do dopisania na karteczce o nagłówku „N. B.“ (to znaczy: nabrali mnie) sumy 50 gr. wydanych na bilet.

Pomijam już fatalną organizację i zachowanie się chłopców, którzy rozumiejąc, że dziś bilet na parterze i galercie kosztuje tyleż samo, usilnie dążyli do zawalenia parteru, — i zajęli się samem przedstawieniem.

Otóż nie rozumiem, jakim tajemniczym rządzeniem losu Tosia była zezowata, Telimena zaś ruda i ubrana tak nadzwyczaj fantazyjnie, a raczej cudacznie. To samo odnosiło się do „Pana Tadeusza“, jako, że miał spodnie żółte, a inne części garderoby zielone, dzięki czemu wyglądał, jak chodząca jajcznica ze szczyptorkiem. Jeżeli chodzi o sedzię, to trudno go było zdaleka odróżnić od stołu i mebli, albowiem ubranie miało z tego samego materiału, co pokrowce.

Pozatem tak nieinteligentnej gry nie widziałam jeszcze w mojem życiu. Naogół sprawiło to na mnie wrażenie, jakgdyby ktoś koniecznie chciał nam całkowicie obrzydzić Pana Tadeusza, czyniąc zeń jakąś parodię. Z życia organizacji:

Masada już zawczasu organizuje najprzeróżniejsze imprezy. Niedawno odbyły się dwie: konkurs literacki, a następnie zabawa. Z odczytanych urywków na największą ilość trafnych odpowiedzi uziano 8 na 11 możliwych. Warto jednak zaznaczyć, iż książkę przez wszystkich od-

gadniętą było „Dziecko Salonu“ Korczaka. Na nagrody przeznaczono książkę z biblioteki masadyjskiej.

Pozatem mogę wam w tym tygodniu donieść o zebraniu patronatu. Na zebraniu tem jedna z pań dzielnie walczyła w swym referacie z urojoną asymilacją, dzięki czemu przywiodła mi na myśl don Kiszoła walczącego z wiatrakami. Jeżeli chodzi o prezesa organizacji (Masady) kol. R. to ten rozpoczął ni z tego ni z owego tłumaczenie rodzicom, czym była Masada (jakby ktoś o niej nie wiedział) i tak zapędził się w historję, że nie przychyliłoby to ujmy Dubnowowi, Balaabanowi czy też Greccowi. Oknął się dopiero wówczas, gdy prezes organizacji sjonistycznej przybył po jedną z działaczek, aby załatwić sprawę kibucu radomskiego.

Ze sportu: We wszystkich szkołach odbywa się zdobywanie P. O. S. Nasza właśnie obecnie kończy stoki.

Pozatem we wszystkich klasach pokazywane były trofea strzeleckie t. j. marmurowy dzban i takiż czarny zegar. Podczas, gdy przełożona nie mogła nachwalić się zwycięskiej szóstki, z ostatniej ławki padło zasadnicze pytanie:

— Proszę pani, a czy ten zegar — aby chodził?

Było to niesłychanie materialne przy romantycznym entuzjazmie zebranych. Pozatem postanowiliśmy nie wypuścić ze szkoły 5 strzelczyń z kl. 8 aż do znalezienia się nowych. Niestety, ciało pedagogiczne jest innego zdania.

**Biba z Radomia. DZIEŃ MIŁY I PRZEŁOMOWY.**

Nasze koło przeżyło wczoraj miłe, uroczyste chwile, które będą punktem zwrotnym w dotychczasowym naszym życiu.

Punktualnie z wybieciem czwartej na starym pocztowym zegarze (trzęcie miejsce w Polsce co do piękności) zaczął nasz pokój wypełniać się korespondentami.

Przybyli tak tłumnie, że miejsca zabrakło przy stole. Sekretarz przetarł szklę i powiódł zdumionym wzrokiem po wielkiem zaiste gronie.

Przybył także dyrektor Żydowskiego Gimnazjum, p. Fruchter, którego koło przywitało serdecznie.

Porządek dzienny:

- 1.— Odczytanie protokołu z poprzedniego zebrania
- 2.— Sprawa kolumny zamajskiej.
- 3.— Kronika.
- 4.— Artykuły aktualne.
- 5.— Referat na temat konieczności krzewienia kultury żydowskiej przez członków koła (na marginesie artykułu N. Budwicza w Małym Przeglądzie z dn. 22 listopada b. r.)

— Projekty: a) — zorganizowanie życia towarzyskiego naszego koła; b) — sprawa imprez, świetlicy i obchodów.

Niesposób zreferować przebiegu całego posiedzenia i wszystkich dyskusyj. Powiem tylko, że nie zraziłmi się niepowodzeniem pierwszej naszej kolumny regionalnej. Wszyscy zgodnie powzięliśmy uchwałę: „Głowy do góry!“ — Zredagujemy drugą kolumnę, lepszą i ta napewno ujrzy światło drukarni.

Dzięki uprzejmości p. dyr. Bronistawa Fruchtera koło nasze będzie mogło korzystać z świetlicy, radja, pism i biblioteki Gimnazjum Żydowskiego. W imieniu koła wyraziłam panu Dyrektorowi naszą wdzięczność. Pozatem p. Dyrektor obiecał nam salę na imprezę teatralną (wszyscy korespondenci będą artystami). — Czy dziw, że zapragnęliśmy uczcić tak doniosłą chwilę? — Więc nowy nasz współpracownik, Artur, śpiewał przy ogół-

**Wielkie słowo: artysta —**

**I takie sztuczki!**

Jestem bardzo zdenerwowana, — głowa mnie boli. Spodziewałam się dzisiaj dnia radosnego, a mam dzień pełen gorczy i smutku.

Jeszcze w sobotę cieszyłam się że pójdę ze szkołą do teatru Kameralnego na sztukę p. t. „Robin son Kruzo“. A chociaż to jest rzecz niebardzo poważna, cieszyłam się, że zobaczę moich, dawnych ulubionych bohaterów.

Nareszcie nadszedł ten dzień (niedziela, 8 grudnia). Przyszłyśmy. Nie będę dokładnie opisywała, co nas spotkało na początku, w jaki sposób nas rozmieszczano. Płaciłyśmy po 75 groszy i miałyśmy dostać łóża. Lecz tylko część dziewczynek została umieszczona w łóżach, reszta musiała stać za łóżami. Po wielkich protestach ze strony pani kierowniczki umieszczono resztę dziewczynek w jakimś kącie, skąd ledwo było widać rąbek sceny.

Meczaliśmy się, pocieszając nadzieją, że potem wszystko wyngrozi mi ładna sztuka. Ale cała sztuka była do lufu. Ani wykonanie, ani wystawa nie robiły wrażenia. Wreszcie spotkała nas „miła“ niespodzianka.

W pewnej chwili, gdy Robin son i jego towarzysze czekali na okręt na scenę z rozmachem wpadła gruba pani, która miała naśladować żydówkę, i zaczęła wrzeszczeć:

— Icus! Icus! Gdzie mój mąż. Ja się bam!

Nagle wśród publiczności zjawił się pan, ucharakteryzowany na żyda, z walizką w ręku wbiegł na scenę i zawołał:

— Dzieci, dzieci, nie widziałyście mojej żonusi?

Złapał żonę w objęcia, podszedł do marynarza i powiedział z żydowska:

— Panie kapitański, to moja żoncia, una się nazywa Sara, a ja się nazywam Icus, niech pan kapitański się nie gniewa!

Zaczęli się wygupiać, przy czym nie omlszkali powiedzieć, że trzeba kupić śledzia, cebulę i lemonadę.

Byłam zdziwiona. Nie rozumięłam, co tu się dzieje. Czytałam dużo Robinsonów Kruzo w mniejszych i większych wydaniach, i nie przypominam sobie, by był brał jakiś udział w przygodach Robinsona. Zrozumiałam, że tę scenkę wymyślono specjalnie. Czuję, że robi mi się gorąco. Zadawałam sobie pytanie: poco nas tu przyprowadzili. Żeby szydzić z nas, żeby z nas się wysmiewać?

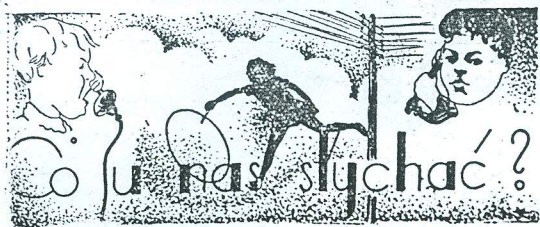
Dziwię się, że dużo moich koleżanek śmiało się. Czyż nie rozumiały one, że śmieją się nie z artystów, ale z siebie samych?

Teraz, gdy to napisałam, użyto mi trochę. Lecz netyko to miałam na myśli, pisząc ten list. Chciałam zaoszczędzić innym dzieciom, które czują tak, jak ja, tych przykrych przeżyć.

Miriam.

nych aplauzach, a Dycia deklamowała. Na zakończenie ucięliśmy sobie partyjkę ping - ponga.

Chcieliśmy wiedzieć, jak pracują inne koła. Co porabia poczesny B. A. P. (białostocka ajenca prasowa). W. A. P. (wileńska), C. A. P. (częstochowska), Ł. A. P. (łódzka), R. A. P. (radomska) i inne. Proponuję, by prowincjonalne koła nadesłały od czasu do czasu sprawozdania z swego życia i działalności. Dorka z Zamościa



**CHANUKA NAJMLODSZYCH.**

Prawie wszystkie żydowskie dzieci lubią Chanukę. W domu jest wesoło, tatus zapala świeczki, gra się w baka, loteryjkę i inne gry. U nas w domu Chanuka jest bardzo miła. Tatus zapala świeczki i opowiada historię święta. O Chanie i jej ośmiu synach, którzy zostali zabici. Mamusia smaży racuchy, a moja siostra bardzo się cieszy, bo w święto Chanuka wypadają jej urodziny. Do nas przychodzą goście i razem się bawimy.

Symc i a z Gęsiej. II.

Wszyscy powinni się cieszyć świętem Chanuka. Gdy przychodzi tydzień tak przez nas oczekiwany, cieszymy się i radujemy. Na widok zapalonych świeczek, przypominamy sobie dzieje żydów z przed wielu, wielu laty.

W szkole urządzamy zwykle wieczorek. Gdy zbiera się publiczność, rozpoczyna się przedstawienie, które składa się z kamedyjek, tańców i muzyki.

Potem poczęstunek dla wszystkich gości. Wracamy wesoło do domu.

Lola z Twardej. III.

W zeszłym roku tatus kupił menorę, ja zapalałem świece, a tatus pięknym głosem śpiewał pieśń świąteczną.

Później grałem z tatusiem, a mamusia i moją koleżanką w drejdl.

W zeszłym roku miśzkałłm w Białymstoku, a teraz mieszkamy w osadzie Orli na Podlasiu, ale tu też będzie wesoło, gdyż mieszka cała nasza rodzina.

Moja siostrzyczka Salscia chce w tym roku zapalać świeczki, więc będziemy zapalali na zmianę.

Ajzyk z Orli. IV.

Świecznik chanukowy stoi na oknie, a szyby są zamaznięte. Patrzę raz na świeczki, raz na szyby i widzę różne obrazy.

Przedstawia mi się świątynia, porośnięta mchem, naokoło różne bożki, a w środku stoi zółnierz Antjocha.

Spojrzałem na drugą świeczkę i obraz na szybie znikł. Zobaczyłem Chanę z jej ostatecznym symnem. Ubrana była w worki żałobne, a obok stał pieniący się ze złości Antjoch.

Trzecia świeczka pokazała już weselszy widok. Oto Makabeusz mścił się za krzywdy swego narodu.

Czwarta była straszna. Widziałem, jak okrutny Antjoch bit starca i kazał jeść wieprzowinę. Piąta pokazała, jak Makabeusz umiera, a syn jego, Juda przyrzeka, że rozpeczęte przez ojca dzieło doprowadzi do końca.

Przy szóstej świeczce byłem zadowolony, bo widziałem, jak Juda wypędza wojsko Antjocha.

Na siódmej ukazał się wyrazny napis „Chanuka”, a na ósmej piękny świecznik. Zaczęłam nucić własną pieśń chanukową.

S i a s i o z Nowolipiek. SWIECIA I MYDŁO.

Niezadługo we wszystkich oknach zabłysła różnokolorowe świeczki. Niejednego chyba interesuje, jak się te świece robi. Więc my postanowiliśmy zwie-

dzić fabrykę świec, aby wam opowiedzieć.

Wytwórnia, a właściwie podrzędna fabryczka mieści się w suterynie. Właściciel, młody i niezamożny człowiek, przyjmuje nas bardzo grzecznie i co tylko tłumaczy, zaraz pokazuje, jak się robi.

W olbrzymim, ogrzewanym kotłem rozpuszcza się stearynę; otrzymaną ciecz wlewa się do maszyn, w której znajdują się otwory, przypominające swym kształtem świece. Przez środek tych form przechodzi knot. Gdy stearyna zastyga, maszyna automatycznie podnosi cały zapas świec do góry, opróżniając w ten sposób otwory i wyciągając knot.

W opróżnione miejsca wlewa się nowy zapas stearynu; gdy stygnie, przecina się knot, łączący dwie świece. Robi się to specjalnym nożem. Świece, które nie natrafiły na knot, roztopia się poraz drugi. Do świeczek chanukowych dodaje się kolorowego barwnika. Gotowe już świece pakuje się do specjalnych skrzyń, gdzie rozchodzą się po Warszawie.

Korzystając z tego, że w tem samym podwórku mieści się fabryka mydła, zwiedziliśmy i ją także.

W ogromnej liczbie rzuca się w oczy wielki kociol. W kotle tym wytwarza się parę. Parę, tę przeprowadza się rurami do ogromnych kadzi, tam roztopia się żywność, łój, kokos i sode. Wszystko to pozostaje przez 24 godziny, potem przelewa się do specjalnych naczyń, przez które przepływa woda. Po upływie godziny otrzymane w ten sposób mydło rozcina maszyną, druga zaś wybija na poszczególnych kawałkach znak fabryki.

Ro m e k i Mietek. LOTERIA FANTOWA.

Przechodzę przez ogród Salski. Przed wejściem stoją sprzedawcy balonów, lusterek, i grzebieni. Dużo gapiów stoi też przy świeżo reklamowanej pasdce do obuwia „Robot”.

Ale największy tłum stoi przy loterii fantowej. Na stoliku, na którym się sprzedaje, stoją także fanty, jak zegary, czekolada, karafki i t. d. Los kosztuje 20 groszy. Kto w swoim losie znajduje dodatkową maleńką karteczkę, otrzymuje premję na miejscu, a wszystkie losy zachowuje do głównego ciągnięcia.

Głos sprzedawcy zachęca widzów. Robocza ręka z podartej kieszeni wyjmuje pieniądze. Coś ciągnie ją i kusi do loterii. Chwila oczekiwania. Naprawdę! Drżące ręce otwierają los.

Niema — szepcze jakiś głos, — lecz myli się: na spodzie leży karteczka. Radość maluje się na twarzy robotnika. Sprzedawca podaje mu karafkę, a robotnik śmieje się i prosi, by sprzedawca dodał do karafki wódki. Robotnik odchodzi i zostawia miejsce innym.

Z drugiej strony pewien pan mówi, że loteria jest oszkaństwem, gdyż kupił już trzy losy i nic nie wygrał. Między sprzedawcą a zbuntowanym dochodzi do kłótni, w której sprzedawca grozi połówką. Jeśli ten pan stał nie odleżdzie. Zbuntowany rzuca z pasją losy na ziemię.

**ROZRYWKI UMYŚLOWE**

I szy TURNIEJ ROZRYWKOWY „MAŁEGO PRZEGLĄDU”. Rozwiązanie zadania turniejowego Nr. 17.

D	R	E	Z	N	O
I	Z	M	A	E	L
B	L	I	Z	N	A
P	A	R	A	N	A
K	O	L	E	D	A
B	A	W	O	K	Y

Rozwiązanie zadania turniejowego Nr. 18.

Nielogiczności opowiadania Stefka są następujące:

1. Urząd pocztowy w niedzielę jest nieczynny, tak, że Janek nie mógł w P. K. O. podjąć picieńdzy.
2. Tramwaj Nr. 17 nie przejeżdża przez Miodową, ani też Nowym - Światem.
3. „Poranki” filmowe kończą się najwcześniej o godzinie 2-jej popoł., nie jest to więc odpowiednia pora na śniadanie.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 19 Nadesłał „Emerson”.

Za rozwiązanie 5 punktów. W autobusie jedzie jako obsługa szofer, konduktor i pomocnik szofera. Imiona ich brzmią: Józef, Salomon i Rubin, lecz który jak się nazywa — nie wiadomo.

Jedzie również trzech pasażerów: pan Józef, pan Salomon i pan Rubin. Pan Rubin mieszka w Jeruzolimie, imiennik konduktora mieszka w Hailie. Pan Józef zarabia rocznie 5244 funty 23 piastry. Pasażer, mieszkający najbliżej konduktora, zarabia 3 razy tyle dokładnie, co konduktor.

Konduktor mieszka na połowie drogi między Jeruzolimą a Hailą. Salomon gra lepiej w bilar, niż pomocnik szofera.

Jak się nazywa szofer? ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 20 Nadesłała „Baby”.

Podnoszę je i mówię, że są ważne, ale widocznie ten pan nie ma do nich wielkiego zaufania.

Chowam losy do kieszeni: a może wygram rower? Loteria cieszy się niebywałym powodzeniem. Odchodzę.

W ciągu kilku dni zebrałem 5 losów. „Wiem, że nie wygram, ale może. Jak wygram, napiszę. Rysio z Ogrodowej. ZBYT SUROWA KARA.

Gdy rano szłam do szkoły, byłam bardzo wesoła, ale na lekcji rysunków, które nawet bardzo lubię, wszystko się popsuło.

Pani oddała nam rysunki, które na poprzedniej lekcji zabrała do przejrzenia. Zobaczyłam, że na moim rysunku napisane jest dużymi literami „Zie”.

Bardzo się zdenerwowałam i w oczach pani podarłam ten rysunek. Pani kazała mi wyjść z klasy i przez tydzień nie przychodzić do szkoły.

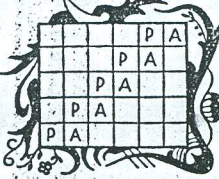
Wiem, że postąpiłam brzydko, ale osądźcie, kochani czytelnicy, czy pani powinna mnie była tak surowo ukarać?

F e l i a z Sierpca. TANCERKA MA GŁOS.

Od najmłodszych lat lubiłam tańczyć. Gdy skończyłam cztery lata, mamusia chciała mnie zapisać do szkoły tańca scenicznego pani Tacjany Wysockiej, ale tatus powiedział, że jestem jeszcze za młoda, abym się już przemęczała tańcami. Po roku będę mogła wstąpić do szkoły, jak skończę pięć lat.

Gdy skończyłam pięć lat, tatus zrobił mi niespodziankę i powiedział, że jutro pójde do szkoły pani Tacjany na egzamin.

Za rozwiązanie 2 punkty.



W powyższą figurę pięć wyróżnionych sześcioliterowych o wspólnym elemencie „pa”.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 21 Nadesłał Olek G.

Za rozwiązanie 1 punkt.



Kazim. Pion

Jaki jest zawód właściciela wizytówki?

DOBRE ROZWIĄZANIA ZADANIA TURNIEJOWEGO 13-go NADESŁALI:

Mieczysław Akerajzen (5 p.), Jakób Fajersztejn (5p.), Jakób Kamiń (5p.), Rafael Rubinstein (5 p.), Bolesław Rzański (5 p.), Janka Winkler (5 p.)

DOBRE ROZWIĄZANIA ZADANIA TURNIEJOWEGO 14-go NADESŁALI:

Jan Ryszard Czarnocki, Dawid Greber, Leon Lewinstein, Eljasz Pietrowiecki, Abram Waksman, Ludwik Winawer.

DOBRE ROZWIĄZANIA ZADANIA TURNIEJOWYCH 14-go i 15-go NADESŁALI:

Mieczysław Akerajzen, Dawid Brandszter, Jakób Fajersztejn, Izio Fryszman, Michał Peiblum, Olek Gold, Mosze Goldfarb, Kryslia Hopengarten, Aleksander Hopengarten, Helcna Janowska, Sa Ra Libermanówna, Izrael Lichten sztejn, Dorka Majerowiczówna, Mietek Oppenheim, Halina Rep-

Nazajutrz przyszedłam na egzamin. Kazał mi pokazać tańce własnego układu, więc zatańczyłam krakowiaka i na tem skończył się egzamin. Gdy wróciłam do kancelarii, oznajmił mi, że jestem przyjęta do kompletu dziecięcego.

W zeszłym roku występowałam na scenie teatru Małego w sztuce „Janka”. Teraz jestem na średnim kursie i od czasu do czasu występuję.

Niezależnie od tego chodzę do szkoły. Mając sześć i pół roku wstąpiłam do pierwszego oddziału szkoły powszechnej prywatnej. Po pół roku pani nauczycielka uważała, że jestem za dobrze rozwinięta na pierwszy oddział i chciała mnie przenieść do drugiego, ale mamusia była przeciwna i nie zgodziła się, bo byłam za młoda. Pozostałam więc w pierwszym oddziale do końca roku.

Teraz mam osiem lat i jestem w trzecim oddziale. Nauka przychodzi mi dość łatwo. Od dłuższego czasu bardzo mnie interesują zwierzęta. Największym moim marzeniem było, aby w domu był piesek. Ciągłe męczyłam mamusię, lecz mamusia powiedziała, że to niemożliwe, bo pies zanęczył mieszkanie. Teraz spełniło się moje marzenie, ale niezadługo będzie się musiała rozstać z moim przyjacielem.

Obiecuję sobie, że gdy dorosnę i będę samodzielna, kupię sobie psa i zapiszę się na członka Towarzystwa Opieki nad zwierzętami.

Aniutka z Sosnowej.

sztejnówna, Stasio Rozenfeld, Rafael Rubinsztein, Mirka Rzańska, Marysia Serebriana, Irka Szafir, Sonia Wermusówna, Ryszard Zapolski, Saba Zelazo. DOBRE ROZWIĄZANIA ZADANIA TURNIEJOWEGO 15-go NADESŁALI:

Aniela Ajzenberg, Henryk Ajzenberg, Hanka Fejginówna, Eda Frenklówna, Teodor Geszychter, Szoel Szpilmann, Mirka Wajnberg.

UWAGA Do zadania turniejowego nr. 14 wkładła się omyłka drukarska: pierwsza cyfra pierwszego wiersza została błędnie podana. Rozwiązania więc, podające niewłaściwie pierwszy wyraz, zostały uwzględnione.

PONIŻEJ DRUKUJEMY NAJLEPSZE Z NADESŁANYCH ROZWIĄZAŃ 4-GO ZADANIA TURNIEJOWEGO: BLUMY JUSTMAN. SAMA W MIESZKANIU.

Jesień. Wiczcór zapada. Siedzę przy oknie. Na ulicach pusto i przestronnie. Na dworze deszcz pada. Krople deszczu spadają z rymny, biją w szyby i wydzwaniają dziwną rytmiczną melodię. Delikatne drganie wskazówek zegara napienia pokój, pogrążony w ciemności, charakterystycznym chrobotem tła. Z otchłanu ciemności wylaniają się jęszcze ciemniejsze kontury domów i drzew. Zapalam światło, gdyż uważam, że gdy się myśl, to nieprawda trzeba siedzieć w ciemnościach i patrzeć, jak „piec wyszczerza bezębęną paszczkę, a stolowe nogi biurka zlewają się z nogami stołu”. Abażur z nocnej lampki przechylił się niezgrabnie, oświetlając blaskiem biurko i tułac resztę pokoju w czarowanym półmroku domyśłów. Myślę, jeżeli można nazwać marzeniem poplątane obrazy, marzenia i pragnienia. Tyle nowych myśli toczy się do głowy. Zjawia się tęsknota za mocnym ideałem, na którym można byłoby oprzeć twarde, mocno stanąć i wiedzieć przynajmniej dokąd się dąży, mieć t. z. cel w życiu. Myślę, i boję się, że mnie nie zrozumiecie, że zgubię się w wale nowych wrażeń, wytworzę jakiś chaos myśli, słów i zdań, które tylko dla mnie ułożę się w ciche, bolesne tony...

Woju domowe, woju partyjne, uliczne, narolowe, światowe. Zie...

I tak myślę jeszcze długo. Służąca weszła. Rozberam się, kładę odrzuć do łóżka. Przytykam oczy i staram się usnąć, dopóki lampka się pali, bo już potem będę zmuszona przeleżeć bezsenne całą noc.

KONKURS AUTORSKI DZIAŁU ROZRYWEK UMYŚLOWYCH:

Redakcja działu rozrywek umysłowych ogłasza konkurs autorów. Biorący udział w konkursie winni nadesłać zadania jedynie własnego pomysłu. Autorzy najbardziej pomysłowych zadań będą nagrodzeni.

Redakcja wyznacza trzy nagrody. Prace autorów nagrodzonych i wyróżnionych będą drukowane w dziale rozrywek. Poza tem autorzy nagrodzeni i wyróżnieni zostaną zaproszeni do „Kola Rozrywek Umysłowych”, które utworzy się przy Małym Przeglądzie. Konkurs kończy się 9 stycznia 1936 roku i do tego terminu należy nadsyłać prace. Autor może przysłać dowolną ilość prac. Prace winny być wyrysowane lub napisane wraz z dokładnymi rozwiązaniami bardzo wyraźnie na osobnych kartkach papieru (każde zadanie wraz z rozwiązaniem na osobnej kartce). U góry każdej kartki winien znajdować się napis: „Konkurs autorski Rozrywek Umysłowych”, przyciem na każdej kartce obok zadania należy zamieścić umiarkowanie: imię, nazwisko, wiek i dokładny adres. Kto podaje pseudonim, musi obok napisać imię i nazwisko. Nie wolno umieszczać na jednej kartce listu do redakcji, lub rozwiązania zadania turniejowego wraz z zadaniem na konkurs autorski. Zadania pisane niewyraźnie, (ółówkiem, na bibułkach i t. d.) rozpatrywane nie będą.